

Antoni Libera

Rozbudzenie ciemnej siły (fragment większej całości)

W końcu stało się jasne, co kryje się za tym wszystkim.

Właściwie powinienem zorientować się szybciej, bo sprawa była nienowa. Ciągnęła się już od dobrych sześciu-siedmiu tygodni, od pierwszej połowy czerwca. Lecz byłem w tym okresie tak skupiony na sobie – na egzaminach wstępnych i przyjęciu na studia, a potem na wakacjach i lekturze *Kosmosu* – że mało mnie obchodziło, co dzieje się dookoła, zarówno w świecie, jak w kraju. A działy się rzeczy doniosłe, o wielorakich następstwach. Tyle, że nie od razu było to rozumiane. Aby zdać sobie sprawę, co się właściwie stało i jakie to może mieć skutki, potrzeba było czasu. Gdy wróciłem znad morza, mniej więcej pod koniec lipca, owa świadomość znaczenia toczącej się historii była już w pełni zbudzona.

Izrael miał rację

Chodzi, rzecz jasna, o to, co zaszło na Bliskim Wschodzie. O wojnę sześciodniową, w wyniku której Izrael zdobył półwysep Synaj, zachodni brzeg Jordanu ze wschodnią Jerozolimą i część terytorium Syrii, opanowując w ten sposób tereny znacznie większe od własnego obszaru. Ta militarna akcja, będąca odpowiedzią na skrajnie agresywną politykę Egiptu i innych państw arabskich, wspieranych od lat przez Moskwę, wywołała na świecie różnorakie reakcje i sprzeczne komentarze. Te kontrowersje jednak specjalnie nie dziwiły. Bądź co bądź niespodzianie przesunięto granice i zmienił się układ sił w tym strategicznym regionie. A to dla potęg światowych było ogromnym wyzwaniem. Bo jedne traciły tam wpływy i niemałe korzyści, a drugie, by je zachować i pogodzić tę grę z deklarowaną wolą dialogu i kompromisu, a zwłaszcza z umowami międzynarodowymi, musiały się nieco natrudzić w tłumaczeniu swych racji i zręcznie lawirować. Bo owe ideały wzbraniały użycia siły w rozstrzyganiu konfliktów, a także nakazywały stosować się do werdyktów komisji ONZ. Tymczasem w tym wypadku ignorowano je. Izrael zmienił porządek metodą militarną i faktów dokonanych, i nie chciał ustąpić za darmo.

Oczywiście miał rację. Słuszność pod każdym względem była po jego stronie. Dla Zachodu jednakże, który formalnie mu sprzyjał, cała ta operacja była też pewnym problemem, wzbudzając wewnętrzne spory. Ponieważ strategicznie musiał się opowiedzieć po stronie

Izraela, a takie stanowisko kłóciło się nie tylko z opinią ONZ, ale również z kodeksem tak zwanych obrońców pokoju, którzy w takich wypadkach zawsze wszczynali alarm. Jak wytłumaczyć takim konieczność akcji zbrojnej, a tym bardziej aneksję? Bo ostatecznie tę pierwszą zawsze można przedstawić jako samoobronę. W historii nieraz bywało, że jakieś państwo nękanie przez agresywnych sąsiadów broniło się, przechodząc do szybkiej kontrofensywy. Lecz potem, gdy się powiodła i odepchnięto wroga, siadano na ogół do stołu, negocjowano rozejm i warunki pokoju, po czym wojsko wracało na swoje terytorium. Tutaj było inaczej. Mediacje i rokowania nie przynosiły skutku. Wschodnia Jerozolima, a także wzgórza Golan zostały w rękach zwycięzców. Rząd Izraela twierdził, i miał w tym pełną rację, że jest to dla niego jedyna gwarancja bezpieczeństwa.

Od końca drugiej wojny był to właściwie precedens. Inne konflikty zbrojne, do jakich dochodziło od tego czasu na świecie – w Korei, Wietnamie, na Kubie – miały tło ustrojowe i charakter wewnętrzny. Były to w gruncie rzeczy – wzniecane z reguły przez Moskwę – sztuczne wojny domowe. Natomiast rajd Izraela na Egipt, Jordanię i Syrię był autentycznym starciem narodów, religii i kultur. No i, co najważniejsze, zmieniał dość radykalnie mapę tego regionu.

To stąd właśnie owa wrzawa, jaka podniosła się w świecie na wieść o rozgromieniu koalicji arabskiej i konsekwentnej postawie przywódców Izraela. Lecz nawet najostrzejsi krytycy jego działań (związani na ogół z lewicą) musieli się mitygować i uważać na słowa, bo czuli, że ta sprawa ma wyjątkowy charakter, i to z wielu powodów.

Po pierwsze, zwycięskie państwo było ojczyzną narodu, który jak żaden inny w historii naszej ery doświadczył prześladowań i masowych pogromów. W dodatku największy z nich – metodyczna zagłada sześciu milionów ludzi dokonana przez Niemców pod przywództwem Hitlera – miał miejsce dopiero co, 25 lat temu, i było to pamiętane w cywilizacji Zachodu, stanowiło źródło nieczystego sumienia, zarówno u samych sprawców, jak i u tych, co zbrodni nie zdołali zapobiec.

Po wtóre, państwo to było spełnieniem marzeń i, wydawałoby się, nierealnych nadziei kilkudziesięciu pokoleń wspólnoty żyjącej w diasporze przez dwa tysiące lat, co w perspektywie dziejowej czyniło je fenomenem. Był to, inaczej mówiąc, wypadek bez precedensu. Bo jakież inny naród, wygnany ze swej ziemi, a potem przez setki lat rozproszony po świecie – tułający się, bity, dziesiątkowany przez wrogów – zdołał powrócić do źródeł i wskrzesić ojczyznę przodków?

A raczej ją stworzyć od nowa – na pustyni – od podstaw.

I wreszcie państwo to – niezależnie od tego, co kto sądził na temat sprawiedliwości dziejowej i zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy – było jedynym remedium na wypadek nawrotu tak zwanej kwestii żydowskiej, z którą świat, wbrew staraniom i wzniesłym deklaracjom, nie mógł sobie poradzić i ciągle się borykał. Było więc ono wartością nawet dla takich sił, które miały na względzie jedynie profilaktykę, czyli zapobieganie potencjalnym konfliktom, a zwłaszcza niespodziewanym ekscesom antysemickim. Krótko mówiąc, i takie – cyniczne – środowiska stały na stanowisku, że lepiej aby Izrael istniał i funkcjonował, niż aby był zwalczany, a zwłaszcza by go nie było.

To właśnie z tych wszystkich względów rozmaite obiekcje, jakie się pojawiały w politycznej debacie Wspólnoty Atlantyckiej, pozostawały w cieniu. Jej kurs był prożydowski. Zachód przy wszelkich wahaniach właściwych demokracji wziął stronę Izraela i udzielił mu wsparcia.

Żądania Kremla

Sowieci naturalnie, będąc w konflikcie z Zachodem, poparli świat arabski, i to nie tylko bez wahań i najmniejszych zastrzeżeń, lecz z niesłychaną siłą. Rozpoczęli natychmiast niezwykle agresywną kampanię propagandową wymierzoną w Izrael, którego zwycięski atak chętnie porównywali do *blitzkriegu* Hitlera. Nim się jeszcze skończyła operacja wojskowa, zwołali w Moskwie naradę komunistycznych przywódców, na której potępili „agresję” Izraela i zażądali od wszystkich podległych im prowincji, by zerwały z tym państwem stosunki dyplomatyczne. Było to niebywałe. W powojennej historii nie zdarzyło się jeszcze, aby Kreml w takiej sprawie aż tak narzucał swą wolę.

Dla Polski ta wytyczna była szczególnie drażliwa. Po pierwsze stała w sprzeczności z proizraelskim kursem, jaki Warszawa obrała jeszcze w latach czterdziestych, głosując w ONZ najpierw za przydzieleniem stronie żydowskiej ziemi na bezwzględną wyłączność, a później, w czterdziestym ósmym, po proklamacji tej strony jako wolnego państwa, uznając je od razu i nawiązując z nim szybko stosunki dyplomatyczne. Po drugie zaś godziła, pośrednio, lecz nieuchronnie, w relacje polsko-żydowskie, które po Holokauście były i tak napięte – pełne pretensji, urazów, nieufności i żalu. Zerwanie stosunków państwowych było aktem wrogości i kojarzyło się wielu z wypowiedzeniem wojny.

Niektórych dziwiło więc, że Gomułka stojący na czele partii i kraju, polityk świadomy przecież tych wszystkich niekorzystnych czy wręcz fatalnych następstw, a jednocześnie przywódca, który umiał w przeszłości postawić się Sowietom, tym razem tak im uległ. Zwłaszcza że nie byłby sam, gdyby oparł się presji, bo miałby za sojusznika niepokorną Rumunię, która ze względu na jakiś narodowy interes zachowała odrębność i nie spełniła żądania.

Dla ludzi jednak, którzy nie mieli żadnych złudzeń, co to jest i jak działa demokracja ludowa, i w jaki sposób Kreml sprawuje nad nią kontrolę, nie było w tym nic dziwnego. Bo doskonale wiedzieli, czym kończy się samowola, a zwłaszcza nieposłuszeństwo przywódcy „bratniego kraju”, szczególnie gdy chodzi o sprawy o kluczowym znaczeniu. Otóż kończy się zwykle „spontaniczną reakcją zdrowych sił” własnej partii, które „w trosce o dobro i bezpieczeństwo narodu” poddają krytyce błędy pierwszego sekretarza i odbierają mu władzę. Czemuż by więc Gomułka miał ryzykować upadek?

Czy jednak rzeczywiście aż tyle by ryzykował? Czy nie miał dostatecznie mocnej pozycji w partii, by w razie czego stłumić wzniecony sztucznie bunt? A zwłaszcza czy istniały w niej odpowiednie siły (ów wiecznie „zdrowy rdzeń”), które nawet przy pełnym i jawnym poparciu Moskwy mogłyby go obalić?

Otóż nie tylko istniały, lecz już od dobrych trzech lat – party, by przejąć władzę. Była to owa frakcja, zwana nieoficjalnie plebejsko-partyzancką. Skupiała ona ludzi wyznających rzekomo wartości narodowe i etos kombatancki, i głosiła, że dąży do przywrócenia Polsce większej niezależności. Oczywiście w zakresie, w jakim to było możliwe w panującym ustroju i pod kontrolą Moskwy. Miała to być jednakże zupełnie inna jakość. „Prawdziwie” polska, „rodzima”.

Tego rodzaju dążenia, a w każdym razie hasła były w upokorzonym, spodlonym społeczeństwie atrakcyjne, chwytliwe. Tyle że to orędzie niewiele było warte. Poza funkcją przynęty nie istniało nic więcej. Jedynym prawdziwym celem było przejęcie władzy i związanych z nią dóbr.

Zwolennicy Moczara, bo to on stał na czele tej „narodowej” frakcji, to byli ludzie w większości zupełnie bezideowi i słabo wykształceni, za to niezwykle pazerni na wszelkie możliwe korzyści. Nie wywodzili się wcale, jak zwykli to podkreślać, ze ściśle pojętego proletariatu i chłopstwa, ale z nizin społecznych – z l u m p e n proletariatu. Tak więc ów „zdrowy trzon” partii, o którym zawsze w kryzysie trąbiła propaganda, składał się w gruncie rzeczy z pospolitego motłochu.

A znalazł się on w szeregach tej „awangardy postępu” bynajmniej nie przez przypadek lub czyjeś niedopatrzenie, lecz najzupełniej legalnie – z planowego werbunku pionierów socjalizmu, czyli pierwszych kadr władzy nowego ustroju i państwa. Bo to właśnie ta kasta – speców od praw historii, walki klas i „diamatu” – wcielając w życie swe wzniosłe, obłąkańcze idee, pragnęła jak najszybciej pomnożyć masy partyjne, głównie aby wykazać słuszność samej doktryny, a poza tym by stworzyć zależną od siebie gwardię. A z kogóż by jak nie z lumpów miała ją rekrutować? Z kogóż jak nie z parobków i ludzi marginesu? Przecież reszta będąca w czymkolwiek zakorzeniona – w ziemi, mieście, własności, w tradycji religijnej – nie pisała się na to. Przeciwnie, nie chciała tego i z lękiem to odrzucała. A z czasem, kiedy już baza powstała i okrzepła, zaczął działać mechanizm selekcji negatywnej. Wreszcie ta „młoda gwardia” szeregowych działaczy od brudnej, niewdzięcznej roboty poczuła własną siłę i pojęła, jak działa „nowy wspaniały świat”, zwłaszcza w zakresie podziału i dystrybucji dóbr. I zaczęła się o nie gwałtownie upominać, i coraz ostrzej stawiać, i grozić sabotażem.

Niechęć, zaszłości i zawiść

To właśnie tej ciemnej siły – awansowanej przecież z pełną premedytacją, a potem hołubionej – bał się teraz Gomułka. A bał się nie tylko dlatego, że należał do starszej generacji działaczy, którzy już byli w mniejszości, lecz również, a raczej głównie, że miał w swym otoczeniu pokaźną liczbę Żydów... to znaczy „towarzyszy o żydowskich korzeniach”. Ci zaś na oponentów działali jak płachta na byka i byli idealnym celem do uderzenia.

Moczarowskie „psy wojny”, ale nie tylko one (to było w partii nagminne), miały awersję do Żydów co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze z natury rzeczy, czyli z właściwych sobie uprzedzeń i niechęci do wszystkiego, co obce, odmienne i nieznanne. Po wtóre wskutek zaszłości, czyli z poczucia winy wobec ofiar Hitlera, na których eksterminację patrzyli obojętnie lub wręcz z upodobaniem, nie mówiąc o wypadkach, gdy ze strachu, dla zysku lub bez żadnej przyczyny przykładali się do niej. I po trzecie z zawiści i przez upokorzenia, jakie ich spotykały, zwłaszcza w pierwszym okresie budowy socjalizmu, kiedy to towarzysze „z żydowskim rodowodem” cieszyli się szczególną estymą i poważaniem, stali w partii wysoko, na ogół wyżej od innych, i rozdawali karty.

Pozycję tę z pozoru zawdzięczali dojrzałej świadomości społecznej, głębszemu rozumieniu

prawideł dialektyki, teorii walki klas i mechanizmu dziejów (to znaczy wyrobieniu ideologicznemu), i z pewnością większemu oddaniu sprawie „postępu”, to znaczy rewolucji i jej zbawczego celu. Istotnie, pod tym względem nie mieli sobie równych. Ale nie to faktycznie czyniło z nich święte krowy. O ich szczególnym statusie decydowała centrala mieszcząca się na Kremlu, a zapewne sam Stalin, który po pierwsze wiedział, że w Polsce brakuje kadr z odpowiednim zapleczem, czyli ze znajomością marksizmu-leninizmu, a po drugie rozumiał, że kiedy tylko już spełnią swoją dziejową rolę, będzie się łatwiej ich pozbyć.

Doprawdy trudno pojąć, jak ci „uczeni w piśmie”, tak bystrzy i rozgarnięci, tak biegli w rozwiązywaniu największych zawiłości i antynomii „diamatu”, tak obeznani z historią ruchu robotniczego, a zwłaszcza WKP(b), i tak dalekowzroczni w najprzeróżniejszych sprawach, w tym jednym, drobnym wypadku zupełnie nie nadążali za Wodzem Rewolucji – za jego jakże prostą w swej genialności myślą. I że całkiem stracili poczucie rzeczywistości, gdy na wieść o sukcesach izraelskiego wojska spychającego Arabów daleko w głąb ich ziemi zaczęli bez ostonek okazywać swą radość, a nawet z tej okazji urządzać huczne libacje. Bo tak się właśnie działo. I to gdzie! Właśnie w wojsku i w innych resortach siłowych.

Gomułka zląkł się na dobre. Wyglądało to w końcu na otwarty sabotaż. Tu oto Moskwa potępia „bezprzykładną agresję” i każe natychmiast zerwać stosunki dyplomatyczne z izraelskim „jastrzębiem”, a tutaj towarzysze „żydowskiej proveniencji”, w dodatku „na odcinku obrony i bezpieczeństwa”, ostentacyjnie się cieszą i świętują zwycięstwo! Wychwalają strategię. Podziwiają Dajana! Czyż to nie krecia robota? Tak zachowują się ludzie tworzący „piątą kolumnę”!

To właśnie to pojęcie cieszące się złą sławą, użyte przez Gomułkę w mowie do delegatów ze Związków Zawodowych, rozniosło się błyskawicznie i wzbudziło niepokój. Zwłaszcza że oprócz niego padły też inne słowa, wyrażenia i zdania jeszcze bardziej złowróżbne, takie jak „kręgi Żydów” albo po prostu „Żydzi” (a już nie towarzysze o „żydowskich korzeniach”), a także „ruch syjonistyczny”, no i wreszcie że każdy z polskim obywatelstwem „ma tylko jedną ojczyznę” – właśnie Polskę Ludową.

Była to niby tylko partyjna retoryka, mająca uspokoić zirytowaną Moskwę, a zarazem usadzić rwącego się do ataku zuchwałego Moczara, w rzeczywistości jednak miała charakter działania i skutkowała odwrotnie. Stwarzała możliwości coraz ostrzejszej gry. Gomułka karcąc publicznie „obywateli polskich narodowości żydowskiej” za jawną nielojalność wobec partii i państwa,

rzucali ich na pożarcie nie tylko „partyzantom”, ale i własnym ludziom, którzy czując, że władza wymyka im się z rąk, widzieli dla siebie ratunek w szybkiej wymianie kadr. I rzeczywiście, wkrótce zaczęły się pierwsze czystki – z początku w partii i wojsku, a z czasem w bezpiece i prasie.

Było to wszystko okropne. Lecz jeszcze bardziej szkodliwe. Przede wszystkim dla państwa, które chociaż od lat nie było suwerenne, miało jednak formalnie status niepodległego, przez co psuło mu w miarę neutralną opinię na arenie światowej; lecz i dla społeczeństwa, które wciągano w ten sposób w antysemicką hecę, a które przecież z początku – w spontanicznej reakcji – jednogłośnie stanęło po stronie Izraela. I to nie tylko dlatego, że bisurmanów wspierał zniechęcony Kreml, lecz również z tego powodu, a może nawet bardziej, że w zwycięskiej kampanii dostrzegano swoisty element czy akcent polski. Chodzi o kraj pochodzenia dziesiątków czy nawet setek izraelskich żołnierzy, a zwłaszcza kilku dowódców. W oczach warszawskiej ulicy, żyjącej od ćwierćwiecza w dławiącym poczuciu klęski zadanej przez Sowietów, przynajmniej „polscy Żydzi” dali im się we znaki, roznosząc ich wasali.

Ta satysfakcja i radość naprawdę były szczerze. A przy tym pokazywały, że niechęć wobec Żydów, ewidentnie obecna w nieszczęsnym społeczeństwie, ma jednak w znacznej mierze podłoże polityczne, a nie religijne, społeczne czy nawet ekonomiczne, i wiąże się ze stosunkiem do polskiej racji stanu – do aspiracji narodu, by zrzucić wreszcie jarzmo okupacji sowieckiej i wybić się ponownie na wolność i niepodległość. Jeżeli ów stosunek w taki lub inny sposób był zbieżny z powszechnymi tęsknotami Polaków, nie było antagonizmu, była wręcz solidarność, jak właśnie w owym wypadku pośredniego konfliktu z Rosją na Bliskim Wschodzie. Złość dochodziła do głosu, gdy rozmijały się z nimi, jak z kolei w wypadku bezpośredniej współpracy z tą samą Rosją w Polsce.

Działania komunistów były więc i haniebne, i perfidne zarazem. Haniebne, bo dla swych celów – dla rozgrywki frakcyjnej – najzupełniej świadomie wskrzeszali antysemityzm, a perfidne dlatego, że podjęli tę akcję w chwili, kiedy nie tylko nie było wrogich nastrojów, lecz panowały wręcz inne. Wszczepiali więc społeczeństwu ten okropny zarazek, właśnie gdy było ono – przynajmniej chwilowo – odtrute.